

Juliusz Wątroba

Uwiedziona?

Zaczeplił mnie na ulicy. Bezczelnie. Powiedział wprost, że wpadłam mu w oko. On mi też wpadł. Musiał zresztą każdemu wpaść, kto go tylko zobaczył, bo wyglądał nietypowo, kolorowo, jak papuga z stadzie wróbli. Nie miał wprawdzie wielobarwnych piórek, ale za to czerwony kapelus, żółta marynarkę, niebieskie spodnie i pomarańczowe buty. Spod kapelusza wystawał długi kucyk siwiejących włosów, wyglądający jak dyndający z tyłu głowy pędzel! Od razu wiedziałam, że to artysta i w dodatku stuknięty. Bo nikt przy zdrowych zmysłach nie chodzi tak ubrany! Jak pajac!

– Może byś poszła ze mną na kawę? – zaczął bez zbędnych wstępów.

– Dobrze – zgodziłam się bez zastanowienia, sama nawet nie wiem czemu. Miał w sobie jakąś magiczną siłę, którą mnie przyciągnął jak magnes opiłki żelaza. Poszliśmy do kawiarni. Kawa była pyszna, a on gadatliwy jak mało kto. Nawet mnie nie dopuścił do słowa tylko nawijał i nawijał, a ja słuchałam z rozdziawioną buzią, bo miał gadane! Po godzinie wiedziałam o nim wszystko, o czym chciałam, że bym wiedziała. Jakim to jest genialnym artystą malarzem, że Van Gogh mógłby się od niego wiele nauczyć, wtedy nie byłoby w jego obrazach tyle brudów i niedoskonałości, a Fałatowi by podpowiedział jak malować akwarele, żeby to nie wodne farby nim rządziły, a on przewidywał zachowanie się farb! Jak zdążyłam mu się wtrącić w wartki potok słów i zapytać, jaką kończył uczelnię artystyczną, to nie odpowiedział, tylko zaczął rzucać nazwiskami wybitnych artystów, którzy go uczyli, a poza tym, jak mówił, a ja zobaczę niedługo, jest genialny, w związku z tym ma całe rzesze wrogów w artystycznym środowisku, którzy zazdroszczą mu talentu i sukcesów komercyjnych, a jego obrazy są na całym świecie, w całym układzie słonecznym i w naszej galaktyce... Tu przerwał, bo widział, że jednak przeholował i zagalopował nieco za daleko i zaczął z innej beczki: gdzie to był na plenerach, oczywiście międzynarodowych i z kim się spotykał, i jak się wszyscy zachwycają jego obrazami, a kto się nie zachwyca, to nie ma gustu, artystycznego smaku, ani się nie zna na sztuce. I tak paplał ze dwie godziny, a ja, jak zahipnotyzowana, słuchałam jego słów o nim samym, w których był gigantem i to takiego formatu, że Leonardo da Vinci wespół z Michałem Aniołem, gdyby dzisiaj żyli, to nosiliby za nim sztalugi i myli w rozpuszczalniku pędzle. Kawa się skończyła. Mój czas też. Chciałam się pożegnać, ale zatrzymał mnie na chwilę i powiedział, że mam tak ciekawą i inspirującą twarz, że musi namalować mój portret! A ja, łatwowierna idiotka, jak na tę kawę, dałam się zaprosić do jego pracowni, by mu pozować do tego portretu, bo – jak stwierdził – przejdę do historii.

Pracowania rzeczywiście zrobiła na mnie wrażenie. Był tam nieopisany bałagan, choć

właściwie powinnam powiedzieć, że nieład artystyczny. Gole manekiny, wrzeszczące papugi w klatce, stare krzyże wiszące u sufitu, zdezelowane instrumenty: kontrabas, skrzypce, akordeon, reprodukcja „Ostatniej wieczerzy”, za to oryginały jego obrazów.

Posadził mnie w jakimś wielowym fotelu, przykrytym czerwonym aksamitem i zaczął malować. A na jego twarzy malowało się to zdziwienie, to zachwyt, to natchnienie, które skutecznie mieszałam farby wyciskane z tubek na paletę, przenosząc je na płótno pędzłami różnych rozmiarów.

– To najdroższe farby, najlepszych firm: Maimeri, Renesans. Rojal-Talens... I pędzle też z najwyższej półki! Z włosia borsuka! – wytłumaczył mi rzeczowo i z dumą, widząc moje zainteresowanie tym, co wyprawia. A zachowywał się dziwnie: jak to artysta, to podchodził blisko, na odległość kilku centymetrów i gapił mi się w oczy; to odchodził pod samo okno, by z przechyloną w prawo głową i przymrużonymi oczami patrzeć, jak wyglądam. Mruczał coś pod nosem, gadał do siebie, że światło coś nie to, że jestem twarzowo – zmysłowa, a to ponoć wielką zaletą, walorem, a nawet fakturą malowanej modelki. I tak do wieczora. Nie mogłam już dłużej wysiedzieć, prawie bez ruchu. Tym bardziej, że wymyślił, że mam się uśmiechać „ustami czerwonymi jak róża”. Więc z tym przylepionym różanym uśmiechem siedziałam jak idiotka, marząc o tym, by prócz tego sztucznego wykrzywienia ust, mieć także kolce od róży, którymi bym go kłuła, by albo szybciej malował, albo dał mi święty spokój. Jakby znał moje myśli. Bo nagle rzucił pędzle w kąć i oświadczył, że właśnie mu się wyczerpało natchnienie i mój portret dokończymy jutro!

Zamiast dać sobie spokój z tym artystycznym megalomanem, mitomanem i tumanem w jednej osobie, to przylazłam do tej jego zafajdanej pracowni. Już czekał. Zaparzył jakąś stęchlą kawę plujkę. Znów mnie usadził w tym antycznym fotelu okrytym purpurą. I znowu faził dokoła, gapił się na mnie, coś tam gryzmolił tymi borsuczymi pędzłami różnej grubości. Kłął pod nosem. Wreszcie nie wytrzymał:

– Jesteś tak wyjątkową modelką, że nie dasz się traktować, jak zwyczajna piękna dziewczyna. Bo ty jesteś nadzwyczajna, godna wyjątkowego portretu! – wyrzucił z siebie.

– Walnijmy sobie po kielichu, to wtedy będzie mi łatwiej się skupić nad twoją niebanalną twarzą, a tobie przyjemniej czas upłynie w tym zabytkowym fotelu na którym siadali królowie! Ale ty też jesteś prawdziwą królową! Przynajmniej dla mnie!

Za stojących pod ścianą niedokończonych dzieł, wyciągnął flachę jakiegoś złociwego płynu. Rolę kielichów pełniły dwie szklanki, które napełnił niemal do pełna. A ja, idiotka, jak gdyby to była szklanka soku pomarańczowego, wypiałam, razem z nim prawie duszkiem!

– No, teraz to nam, pójdzie! Na luzie! – obwieścił uroczyście, wciskając mnie – królową w królewski fotel.

Rzeczywiście, jeszcze bardziej się ożywił, mruczał coś pod nosem mieszając farby na tęczącej paletce, a mnie zaczęło się mieszać w głowie, choć błogi spokój mnie ogarnął, było mi dobrze, błądziłam myślami już nawet nie wiem gdzie i z kim, nie zapominając wszakże o „różanym uśmiechu”. Z kolorowych myśli wyrwał mnie jego głos:

– Widzisz jak dobrze? Zaraz mi lepiej idzie! Uchwyciłem twoje podobieństwo, ale by nie wymknęło mi się spod pędzla, to szklanka na drugą nóżkę – zaproponował, by procentowe siódme niebo obyspało go natchnieniem, a mnie anielskim spokojem, niezbędnym atrybutem modelki, którą teraz byłam już na 200%, dzięki, jak mnie poinformował, 70% trunkowi przywiezionemu z międzynarodowego pleneru z Afryki północno-południowej.

Już się nie musiałam starać, aby być tą w pełni profesjonalną modelką, bo czułam, że jestem. Tym bardziej, że wciąż się mną zachwycał. A ja nawet nim, bo z jednej palety zrobiły się dwie, z którymi, jak na skrzydłach wzlatywał w natchnieniu, by świat oniemiał, gdy zobaczy mój portret. Ale on zobaczył we mnie nie tylko twarz, ale i resztę. Gdy nalewał trzeci kielich, to stwierdził z pełnym profesjonalizmem:

– Wiesz, dziewczyno, ty się nadajesz nie tylko na portret, ale i na akt! Że ja tego wcześniej nie zauważyłem.

Wypiliśmy z wolna, a raczej wysączyli już ósme niebo w płynie. Czas już dla mnie nie płynął. Ale za to ja pływałam. Już nawet nie pamiętam, jak zrzuciłam ciuszki i nagusienka, jak Ewa w rajcu, położyłam się w tym fotelu. A on mnie malował, chyba w różnych pozach, bo mnie nieustannie poprawiał, układał, przekładał. Nie wiem jak długo to trwało, ale chyba długo... Nie wiem co się ze mną działo, ale się działo... Może to był dzień, może trzy noce... On nic nie jadł, choć jak przez mgłę słyszałam, że głodny i ma wilczy apetyt... A ja leżałam bez ruchu, chyba, że przychodził i mnie uruchamiał...

Powoli dochodziłam do siebie, choć zbyt daleko odeszłam... Płomień różanego uśmiechu zgasł, a ja płonęłam ze wstydu... Ubrałam, porozrzucane dookoła moje fatałaszkę... Z bólem i z szumem w głowie podeszłam do sztalugi, na których z płótna spoglądała na mnie jakaś pokraka, ani do ludzi, ani do zwierząt niepodobna.

– To ma być to arcydzieło????!! – krzyknęłam oburzona i wytrącona z równowagi, choć trudność z równowagą miałam też jeszcze przez ten wredny trunk.

– Co się denerwujesz? Miłość ważniejsza od sztuki! Bo „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą...” A ty jesteś boginią – wybełkotał skulony na tapczanie.

– Za to z ciebie zwyczajny chuj!!! – trzasnęłam drzwiami i wybiegłam wtapiając się w falujący tłum, który utulił mnie litościwie anonimową, szarą obojętnością...

